Nr. 1. 7. Stycznia 1873. Tom VII.

Rok XIV.
Wychodzi we Lwowie co 15 dni, to jest 7. i 21. każdego miesiąca. Redakcja i administracja przy ulicy Mickiewicza l. 24.

DZWONEK

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 4 złr. rocznie, 2 złr. półrocznie. W Prusach 3 tal. r. 1½ tal. półrocznie.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

DO CZYTELNIKÓW „DZWONKA.“

Z Nowym rokiem i ja — „Dzwonek“ —
Głoszę jakby nowy dzionek,
Nie ustając w dawnym trudzie
Witam Was wioskowi ludzie!

I życzenia noworoczne
Składam Wam — a tak rozpocznę:
Niech Bóg będzie pochwalony!
Dom i zwyczaj uświęcony!

Niech na roli i na błoni
Sprzyja Bóg wytrwałej dłoni!
Niech stodole i oborze
Błogosławi oko Boże!

Szczere serce pod siermięgą,
A zaś w głowie trzeźwo, tęgo —
Takim bądź mi człecze — zdrowym
W krwi i w duszy — z Rokiem nowym!

Teraz „Dzwonka“ wy spytacie:
„Czegoż tobie życzyć, bracie?“

Więc odpowiem: Przychylności
Pragnę waszej, ludzie prości!

Pragnę waszych serc, w tej mierce,
Jaką swe wam daję serce!
Do rodziny swej, czeladzi,
Przyjmcie wy mnie, ludzie, radzi!

Wszak ja z wami jednej wiary,
Z wami uczczę zwyczaj stary,
Wasz pomocnik na ugorze,
Wasz najszczerszy gość w komorze.

Bo wiem, co was cieszy — boli —
Niby odgłos waszej doli,
Wniosę ja do waszej strzechy
Dźwięk przestrogi i pociechy!

B. K.

NA POCZĄTEK.

Rozsyłając pierwszy w tym roku numer „Dwonka“ — zaczynamy przesłaniem noworocznych życzeń Czytelnikom naszym.

Starzyśmy znajomi; wiemy, czego sobie życzyć powinniśmy, czego nam potrzeba. Nie dobrze dzieje się w kraju; każdy narzeka na biedę, narzeka na ludzi, że nie umieją biedzie zaradzić — ale prawie nikt nie zabiera się do pracy i nie stara się o to, aby lepiej było.

Narzekamy na naszych rolników, że nie umieją gospować, że marnują dary Boże. Narzekamy na rzemieślników, że są nieukami i próżniakami. Narzekamy na panów, że zapominają o kraju, tracą grosz ojczysty i ziemię ojców sprzedają nieprzyjaciołom naszym. Narzekamy na żydów, że ssą krew

naszą i obdzierają nas z ostatków bogactwa i zamożności. Narzekamy na Niemców i Moskali, że coraz bardziej uciemiężają biedny upadły naród, tępią w sercach naszych miłość Polski, przywiązanie do wiary, mowy i obyczajów ojców naszych.

Narzekamy na wszyskich, na wszystko — nawołujemy się do pracy i — na tem kończymy. O szczerej poprawie i polepszeniu doli naszej nigdy nie myślimy; spuszczamy się na pomoc bożą, a zapominamy, że i pan Bóg tego tylko wspiera, kto na to zasłuży własną pracą i staraniem.

Dziś, więcej niż kiedykolwiek — musimy poważnie a szczerze jąć się pracy i pomyśleć o sobie. Dziś, mili czytelnicy — smutną święcimy rocznicę. Oto właśnie sto lat minęło, jak w grobie złożono ciało ukochanej ojczyzny naszej. Sto lat temu — byliśmy jeszcze narodem wolnym i potężnym. Przed wiekami do nas o pomoc przysyłali posłów najwięksi królowie i cesarzowie; my byliśmy najsilniejszymi obrońcami wiary świętej; przed nami drżeli dzicy najeźdzcy, korząc w prochu dumne czoła przed rycerstwem polskiem — walczącem w imię ojczyzny i kraju.

Obcy nas szanowali i bali się nas. W domu mieliśmy szczęście i bogactwo. Mieliśmy własnych królów i sejmy własne, wojsko polskie i urzędy polskie. W kraju pełno bywało dobytku i pieniędzy. Pracowity ludek żył w szczęściu i bogactwie, i orał łany ojczyste, i chwalił Boga w spokoju. Na niczem nam nie zbywało; nie potrzebowaliśmy drugich prosić o pomoc — raczej my innym pomagać mogliśmy.

Jakże się to wszystko zmieniło! Sto lat minęło od chwili, kiedy sąsiedzi Polski — ojczyznę naszą podzielili. Myśmy jej nie umieli obronić — bo już wówczas nie byliśmy tym samym narodem, co przed wiekami. Już wówczas zapomnieliśmy o cnotach praojców naszych — byliśmy słabi i niedołężni. Ostatnią ucieczką naszą — była wiara w lepszą przyszłość. Zawsze wierzyliśmy, że czasy się zmienią,

że zaświta nam jeszcze szczęście i swoboda. Wyglądaliśmy zbawienia i oczekiwaliśmy nadzwyczajnej jakiejś pomocy — założywszy ręce, marnując w bezczynności resztki sił i bogactwa narodowego.

Czasem nieprzygotowani należycie, zrywaliśmy się do boju i przelewaliśmy krew w nierównej walce. Były to chwile uniesienia, chwile rozpaczliwych wysileń. Dlatego za każdym razem — upadaliśmy, a nieprzyjaciele nasi coraz cięższe więzy na upadły nakładali naród. Tak minęło sto lat i po stu latach robiąc rachunek sumienia, widzimy, żeśmy tak słabi, jak dawniej i tacy biedni, jak ojcowie i dziadowie nasi. Widzimy, że w kraju źle i wiemy dlaczego — a nie staramy się o poprawę.

Zaniedbujemy szkoły, nie uczymy dzieci naszych, choć mamy środki po temu. To nasza największa bieda. Bez oświaty — nie ma ani bogactwa, ani siły, ani wolności. Gdybyśmy się postarali, aby oświata po całym kraju się rozszerzyła, gdybyśmy w każdej wiosce mieli choćby kilku lub kilkunastu wieśniaków, którzy z pożytkiem pokończyli choćby najniższe szkoły — inaczejby się u nas działo, nie byłoby tyle narzekania. Gospodarowalibymy lepiej, a grosza zapracowanego używalibyśmy rozsądnie. Nie potrzebowalibyśmy narzekać na żydów, że lud nasz obdzierają, bo pozakładalibyśmy towarzystwa i w rozmaity sposób wspomagalibyśmy się wzajemnie. Ziemi naszej nie wykupywaliby obcy — sprawami naszemi nie rządziliby obcy. W każdej sprawie nas dotyczącej — mybyśmy sądzili. Nasby pytano o nasze potrzeby i życzenia — a mybyśmy umieli bronić interesów naszych. Wszystko to dałoby się zrobić, ale do tego potrzeba oświaty; bez niej ani kroku naprzód nie postąpimy, bez niej tylko coraz gorzej będzie w kraju. Sejm nasz uchwalił w roku 1872 takie prawo, że w każdej gminie musi być szkoła i że wszystkie dzieci do szkoły chodzić muszą. Starajmyż się z tego prawa korzystać, a wkrótce zobaczymy, że wszystko na lepsze się zmieni.

Oświata da nam bogactwo i siły, nie będziemy więc narzekać na biedę i nie będziemy mówić, żeśmy słabi.

Na tem jednak nie koniec. My Polacy, żyjący pod panowaniem austryackiem, jesteśmy jeszcze stokroć szczęśliwsi od braci naszych pod rządem moskiewskiem i pruskim. Nam wolno mówić po polsku, uczyć dzieci nasze po polsku i modlić się w naszych kościołach. Ale zapomnieć nie możemy, że większa część narodu polskiego jęczy pod jarzmem moskiewskiem, że Moskale ani na chwilę nie przestają tępić wiary naszej i mowy ojczystej. Kościoły katolickie zamieniają na szyzmatyckie cerkwie, księży wywożą w dalekie kraje, w szkołach uczą obcej religii, mówić ojczystą mową nawet w domu, w rodzinie, nie pozwalają. Nie wiele lepiej dzieje się braciom naszym pod zaborem pruskim.

My więc nie powinniśmy ani chwilę zapominać o tem, że świętym obowiązkiem naszym jest: kochać zawsze mowę ojczystą i szanować wiarę ojców naszych. Mogą przyjść gorsze jeszcze niż dzisiaj czasy i nam może zechcą kiedyś zabraniać mówić polską mową i zamykać świątynie pańskie. Na takie czasy zachowajmy w sercach naszych miłość ojczyzny i rzeczy ojczystych i miłość wiary ojców naszych. Nie zapominajmy o braciach naszych pod panowaniem Moskali i Prusaków; — czuwajmy i pracujmy, abyśmy mogli dać im pomoc i pokrzepić ich wiarę i miłość ojczyzny.

Otóż nasze życzenia noworoczne. Uczmy się i pracujmy! Kochajmy ojczyznę i wiarę ojców naszych. To nasze obowiązki — reszty Bog dokona.

„Dzwonka“, mili czytelnicy! — zachowajcie i nadal w życzliwej pamięci. Jak dotąd — tak i dalej będzie on wam dzwonił pieśń miłości kraju i rzeczy ojczystych, będzie was budził do pracy i czuwania. Opwiadając dzieła wielkich ludzi — zachęcać was będzie do cnoty i czynu; pokazując zbrodnię w całej jej ohydzie, będzie was odstraszał od zboczenia z drogi prawej; opisując ziemię ojczystą i dzieje narodu — będzie Was uczył kochać Polskę. Da Wam nie-

jedną zdrową radę w gospodarstwie — niejednę myśl podsunie w sprawach gmin i całego kraju. Wesołe opowiadania, uprzyjemnią Wam niejedną niedzielę, gdy dla odpoczynku usiądziecie w gronie przyjaciół do wspólnej zabawy. Wesołą piosnką weselić się będziemy z Wami; gdy Was smutek okryje — „Dzwonek“ zapłacze razem nad wspólną niedolą. Zechcecie życzliwej rady albo słowa pociechy, napiszcie do nas, a zawsze szczerze odpowiedzą Wam

Pisarze „Dzwonka“.

Oczy uroczne.

Powiastka poetyczna

przez

Bronisława Komorowskiego.

I.

Wśród ciemnych lasów chatka odludna
Świeci, białością swą prawie cudna!
Mchem porośnięta, strojna malwami,
Nakryta cieniem drzew, jak skrzydłami
Dobrych aniołów, co sierot strzegą...
To Eliasza dom, gajowego.
Gospodarnego znać wszędzie człeka:
Z boku stodółka, w sadzie pasieka,
Tuż w białym piasku źródełko bije,
Z którego często jaskółka pije,
Lub czerpie zdroje w dzban z czarnej gliny
Eliaszowy ptaszek jedyny,
Jedyna córka, wszystko — Anielka.
Lecz ani w ptaszku, co swe u belka
Lepi gniazdeczka, tyle zwinności,
Ani w źródełku tyle czystości,
Ani w pasiece miodowej woni,
Ni wdzięku w całej owej ustroni.

Ani czerstwości w leśnej malince
Tyle — o! tyle, co w tej dziewczynce!
Ot — w progu chatki stanęła właśnie.
W konarach lipy słońce już gaśnie —
Dziewczę, podniósłszy nad oczy dłonie,
Wzrok dziwnie tęskny utkwiło w stronie
Zachodzącego za lasy słońca,
Jak gdyby patrzeć chciało bez końca
Za uchodzącym po liścia fali
Dniem...

Zmrok nie przyćmił ust jej korali,
Ni płci — lecz owszem, w oczach aż śnieży
Od jej twarzyczki, od jej odzieży.
W progu, pod szarą stojąc jabłonką,
Dziewczę to świeci jak drugie słonko...
Zdawałoby się, że chatka świętą
Jest gwiazd gospodą, i że ponętą
Dla wszystkich młodych serc naokoło
Świeci to białe, dziewicze czoło —
A jednak właśnie od tej zagrody
Starzy i młodzi stronią w zawody,
Bo o mieszkańcach chatki tej w lesie
Dziwna pomiędzy ludźmi wieść niesie,
Wieść, co najśmielszych nawet odstrasza
I od Anielki i Eliasza.

II.

Cienie już z kwiatów spędziły pszczółki,
Już też z błękitów schodzą jaskółki.
Coraz to smutniej w sercu dziewczyny;
Wzrok jej wzdłuż leśnej błądzi drożyny,
Co jak wąż między krzewy się wije...

— „Słowik na Anioł Pański już bije,
Świerczek wieczorną śpiewkę już nuci,
Tatusia nie ma — kiedyż powróci?
Kiedyż powróci zażyć wywczasu?...
Noc i dzień cały strawił wśród lasu.

Sam — i ja sama tu, jak sierota!
Bo za kimż kiedy skrzypną te wrota?
Kto oprócz Boga o nas pamięta? —
Dziś przyszli ludzie — Panienko Święta! —
Raz nawiedzili, raz przemówili,
A serce moje już od tej chwili
Drży smutkiem, trwogą dotąd nieznaną —
O! dziś powitasz ty mnie spłakaną
Tatusiu, więc ci opowiem dziwy,
Jakie roznosi głos nieżyczliwy
O córce twojej —; że córkę twoją
Mają za potwór, ócz się jej boją,
Jakby przed wiedźmą rodzoną z piekła
Uchodzą, żeby ich nie urzekła
Oczyma swemi! Temi oczyma,
Których się widok żaden nie ima
Krom lasów jednych i gwiazdek jednych,
Mogłażbym szkodzić ludziom? Z tych biednych
Ócz, czyżby mogły patrzeć uroki?“

Tak myśli dziewczę — a łez potoki
Zalały oczy jej, osławione!
Czyż nie najlepszą dały obronę
Oczom Anielki od złej potwarzy? —
Jeszcze się ona w cichości skarży,
Gdy dał się słyszeć szelest i echo
Znajomych kroków...

Wkrótce pod strzechą
Błysnęło światło w małem okienku.
Jeśli więc bracie nie czujesz lęku
Przed dziewiczemi oczyma: śmiało
Przystąp do okna, a co się działo
Za Eliasza do dom przybyciem
Ujrzysz tam; noc ci będzie okryciem.

(C. d. n.)



Jędrzej Moraczewski.

Jędrzej Moraczewski urodził się dnia 4. Lutego 1802. r. we wsi Dusinie pod Gostyniem, w dzisiejszem W. Księstwie Poznańskiem. Pierwsze nauki szkolne pobierał w Poznaniu, nauki uniwersyteckie odbył w Niemczech. Powróciwszy do stron rodzinnych w roku 1825, osiadł we wsi Zielądkowie pod Obornikami.

Po dwuletnim blisko pobycie na wsi, wśród rodziny, udał się do Warszawy, gdzie chodził na wydział prawa. Powstająca Polska 1830. r. pragnęła pozyskać dla siebie przychylność Niemiec, a może i pomoc, choćby tylko dorywczą, z ochotników i dobrowolnych ofiar — mało mając nadziei, aby rządy niemieckie za jej sprawą się ogłosiły. Było więc rzeczą bardzo naturalną ze strony Rządu narodowego, że liczni zostali rozesłani ajenci na zachód, celem pozyskania Niemców liberalnych dla sprawy polskiej. Pomiędzy tymi był Moraczewski jeden z najczynniejszych. Dopiero po bitwie Grochowskiej wrócił do Warszawy.

Mimo obudzonej wszędzie dla nas przychylności, mimo masy pism i artykułów gazeciarskich, które Niemcy dla sprawy polskiej pisali, Europa patrzała się z założonemi rękoma na naszą walkę.

Poznał się snać na tem wczas Moraczewski i przyszedł do przekonania, że tylko na własne siły Polska liczyć może. Porobiwszy bowiem w drugiej podróży swojej do Niemiec z polecenia rządu narodowego podjęte potrzebne zakupna broni i obstalunki po fabrykach na dalsze dostawy, za powrotem do Warszawy, w końcu kwietnia, wstąpił jako ochotnik do Sandomirskiego batalionu celnych strzelców pułkownika Grotusa.

Celni strzelcy Grotusa, a z nimi Moraczewski, brali udział we wszystkich ważniejszych bitwach i utarczkach z nieprzyjacielem. Odznaczyli się mianowicie pod Lubartowem, Kockiem, Iłżą i Lipskiem. Po wzięciu Warszawy, korpusik zbliżał się co raz bardziej ku granicy. Pod Pinczowem oskoczony został przez dragonów moskiewskich i mimo mężnego oporu, większa jego część, a między niemi i kompania, w której Moraczewski już jako porucznik w zastępstwie rannego kapitana Guyot dowodził, dostała się do niewoli.

Ranny ciężko w głowę cięciem szabli dragońskiej, odwieziony został do Pinczowa, następnie do lazaretu w Lublinie, zkąd po wyzdrowieniu miał być z innymi jeńcami

odstawiony na Kaukaz. Nie czekał tej pory Moraczewski i upatrzywszy dogodną oposobność, umknął z lazaretu w Lublinie i szczęśliwie dostał się do Warszawy. I tu mu los poszczęścił, że zyskał potrzebny paszport, na mocy którego już bezpiecznie mógł opuścić miasto i granice Polski. Jakoż w początku Listopada 1831 r. stanął w Zielądkowie wśród swoich.

Po każdem wysileniu, następuje osłabienie, i im większe było natężenie sił, tem większa potem bezwładność. Są to najsmutniejsze i najboleśniejsze chwile w życiu narodów. Odrętwienie, zwątpienie, albo zdrada sprawy i przeniewierstwo zasadom, upadek na umyśle i na majątku, prześladowanie i tułactwo — oto zwykłe następstwa przemocą pokonanych w ruchu w r. 1831. Trzeba mocnej duszy i mocnego charakteru, by w tym czasie powszechnego upadku, nie upaść.

Jednym z takich charakterów, które się nie ugięły pod niefortunnemi okolicznościami, był Jędrzej Moraczewski, w sile wieku natenczas, bo zbliżał się do lat trzydziestu. Niezadługo zyskał on niesłychany wpływ na umysły, stał się jednym z najpopularniejszych ludzi wśród rodaków i niejako wyrocznią we wszystkich ważniejszych sprawach publicznych.

Jedno główne położył sobie Moraczewski około sprawy publicznej zadanie, w którem niezmordowanie pracował i całą moc charakteru swego wytężył. Tem zadaniem było utrzymanie i szerzenie niepokalanego charakteru polskiego w mowie, w piśmie i w czynach, w postępowaniu domowem, familijnem, społecznem i politycznem. W tym kierunku był sobie zawsze równy i nieugięty. Radził i nakłaniał nie mięszać i nie bratać się z obczyzną.

Pozakładał w okolicznych powiatach czytelnie, towarzystwa agronomiczne, kasynowe. Dalszym środkiem przestrzegania i szerzenia czystości narodowej polskiej, było kształcenie przez pisma czasowe. Po kółkach i zebraniach obywatelskich działał Moraczewski słowem, a był niezwykłej obfitości mówienia.

Moraczewski do redakcyi wszystkich pism czasowych należał, które gromadnie w pierwszym i drugim dziesiątku lat po 1830 r. powstawały. Zapisał się w liczbę współpracowników „Przyjaciela ludu“ i „Tygodnika rolniczo-przemysłowego“, które pierwsze wychodzić zaczęły w Lesznie.

Znano powszechnie jego przedewszystkiem polskie usposobienie, szanowano jego rozum i rozsądek, jego uczynność, skorą dla każdego, jego poczciwość, rzetelność i prawość. Nie było żadnego zebrania ku wspólnym obradom, do któregoby Moraczewskiego nie zaproszono.

Powaga jego z powodu znajomości dziejów, praw i stosunków polskich, była nawet u władz i sądów pruskich powszechnie znaną i przyjętą. Przychodziły do niego z urzędu w tej mierze zapytania ważne, na które zawsze dokładnie odpowiadał, a nie jeden z urzędników sądowych i adwokatów, zasilał się u niego i objaśniał wiadomościami prawnemi, wypływającemi z instytucyj polskich.

Roku 1846 stanął komitet narodowy, do którego i Moraczewski powołany został. Jako prosty obywatel udał się do obozu Pleszewskiego, zkąd z oddziałem pod dowództwem Białoskórskiego stanął pod Miłosławiem, a nazajutrz był świadkiem walki pod Sokołowem.

Moraczewski wrócił z burzliwego pola czynów do spokojnej pracy nad dziejami, w których zamierzył podać narodowi obraz jego upłynionego żywota, ażeby się w nim przeglądał ku nauce i utwierdzeniu w wierze, nadziei i miłości.

W Październiku 1842 r. wygotowany został I. tom Dziejów i ukazał się w druku następnego roku pod tytułem: „Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej aż do piętnastego wieku“.

Tymczasem ciągła i tak rozliczna i wielostronna praca nadwątliła czerstwe dotąd zdrowie Moraczewskiego. Po kilkomiesięcznej chorobie żołądkowej wróciły mu znowu dawne siły, tak że za powrotem z wód 1853 r. mógł dokończyć i wydać na świat ósmy tom Dziejów, obejmujący

czasy Jana Kazimierza aż do pokoju w Oliwie. Następnego roku wybrał się Moraczewski do Ostendy, zkąd zrobił wycieczkę do Londynu. Wróciwszy z tej podróży, uczuł się wiele słabszym, opadły z ciała, gorączka ciągle go trawiła, a umysł jego słodki i łagodny, stał się niezwykle drażliwym. Zmiany te zapowiadały prędkie rozwiązanie. Nie ustawał przecież w pracy i wykończył IX. tom „Dziejów", którego ukazania się w druku już nie doczekał.

Za radą lekarzy wybierał się do Gdańska, gdzie w jednym z tamecznych zakładów miał używać kąpieli zimnych i dzień 20. Lutego (1855) na wyjazd swój przeznaczył. W wilią dnia tego uporządkowawszy ostatecznie rękopism, wieczorem przywołał zarządcę drukarni i rzekł do niego: „masz tu ukończony dziewiąty tom Dziejów, druk możesz każdej chwili rozpocząć; ja jutro wyjeżdzam."

To było ostatnie rozporządzenie naszego dziejopisa. Nazajutrz wybrał się rzeczywiście w podróż — do wieczności. O godzinie 6tej zrana tknięty paraliżem płucowym, pomimo wszelkich starań lekarskich, skończył o godzinie ósmej wieczorem 1855. r.

Gadka

o królu Krakusie i królewnej Lubusie.

Już przeminęły te zwyczaje, choć tak niedawne, tak świeże, że je każdy prawie pamięta. W niektórych okolicach kraju naszego, nawet dotąd jeszcze się utrzymują. Zimowemi wieczorami schodzili się chłopcy i dziewczęta u jednego z gospodarzy z kądzielą; jeden z weselszych, starszych dowcipniejszych, poczynał zwykle opowiadać baśnie i gadki cudowne. Furczały wrzeciona, praca szła gładko i żwawo, a dusza cała, a myśli wszystkie, zawisły na ustach powieściarza, co skulony w kącie przy piecu lub na zapiecku,

bajał i gadał tak mile, tak cudownie, żeś cały przenosił się w świat jakiś inny, nieznany, pełen widziadeł i mamideł. Nie zawsze, nie wszędzie, jednakowe gadki, i takiesame bajeczki, jak ubiór i mowa nie wszędzie jednakowe. Jedne bez myśli pięknej, same cudotwory i straszydła — inne, choć gadki, piękne, a czasem i rzeczywistą malują nam myśl. W gadce, jak w życiu, częstokroć prawda z bajką się brata,, przypadek rządzi, a szczęście kieruje.

Dla zabawy czytelników naszych i miłego spędzenia wieczoru, podajemy tu niżej gadkę czeską, a to tem chętniej, że to o naszym królu bajecznym Krakusie, ojcu Wandy, założycielu Krakowa, którego z dawnych „Dzwonka“ roczników dokładnie już znacie.

Zaledwie ślady drobne pozostały z potężnego lasu czeskiego, co to dawniej silnemi ramiony sięgał aż w sam środek kraju. Przed latami, przed wiekami, w lesie tym, w puszczach owych nieprzybytych, mieszkał ludek, co nie miał ciała i światła nie znosił, na pół duchowy, powiewny, subtelniejszej natury niż ludzki ród, ulepiony z gliny i ztąd niewidzialny oku cielesnemu, ale widomy oku duszy przy świetle księżyca i znany wieszczom pod nazwiskiem rusałek i świtezianek. Od niepamiętnych czasów spokojnie i cicho tutaj mieszkały. Wtem nagle zagrzmiała w lesie wrzawa wojenna; książę Czech wpadł z rzeszą słowiańską przez góry z kraju węgierskiego, aby w tych niedostępnych miejscach nową znaleść siedzibę. Piękne mieszkanki wiekowych dębów, jaskiń, i jarów, i stawów, i jeziór, uciekały przed wrzawą wojenną i prychaniem jazdy; nawet potężny król dębów sprzykrzył sobie ustawiczny łoskot i przeniósł siedzibę swoją w dalsze niedostępne lasy i puszcze. Jedna tylko z rusałek, nie chciała porzucić ulubionej siedziby, a gdy las tu i tam wycinano, aby ziemię uprawić, ona jedna miała odwagę bronić drzewo przed nowymi przybyszami i obrała sobie najwyższy wierzchołek dębu na mieszkanie.

W orszaku księcia był młody paź Krak, śmiały i odważny, silny i kształtny, i dobrze wychowany. Ten podług rozkazu strzegł wierzchowców książęcych i często na paszę je wypędzał. Spoczywał on niekiedy pod drzewem rusałki; ta spoglądała uprzejmie na dzielnego młodziana, a gdy w nocy na mchu pod dębem usypiał, szeptała mu do ucha i opowiadała zdarzenia dnia następnego; jeśli się zaś w puszczy koń zabłąkał i ślad jego zaginął, a pasterz zmartwiony rzucał się na łoże, wtedy za sprawą rusałki widział we śnie trop koński i ścieżkę ukrytą, która go nigdy nie zmyliła i zbudziwszy zawsze dochodził do miejsca, gdzie się pasł konik zbłąkany.

Coraz to głębiej w las zapuszali się nowi osadnicy, coraz więcej zbliżali się do siedziby rusałki, a ta odgadła już duchem proroczym, że niedługo siekiera zagrozi drzewu, z którym życie jej ściśle było związane. Postanowiła więc zwierzyć się gościowi.

Księżyc w pełni noc jasno oświecał; Krakus później jak zwykle stado zegnał w ogrodzenie i biegł pod wyniosły dąb na zwykły spoczynek. Przechodził właśnie około stawku; księżyc podobny do świecącej ognistej kuli, przeglądał się w jego srebrzystych falach. Na tamtej stronie, za błyszczącem zwierciadłem jeziora, zobaczył postać kobiecą; zdawało się, że dla ochłody przechadza się nad brzegiem. Zjawisko to zdziwiło odważnego wojownika i w myśli zapytywał się, zkąd tu przybyła dziewczyna; co tu robi w tej puszczy tak późnym wieczorem? Przygoda ta raczej ośmieliła go, miasto zatrwożyć i natychmiast postanowił rzecz dokładniej zbadać. Podwójnym biegł krokiem i nie spuszczał z oka postaci, aż nareszcie doszedł do miejsca, gdzie ją pierwszy raz spostrzegł, t. j. pod dąb. Zdawało mu się, że to cień, a nie żyjąca istota, zdziwił się i zaląkł, włosy dębem stanęły, lecz w tej chwili usłyszał głos miły, łagodny, cichy: „Zbliż się, kochany przychodniu; jam nie cień, ani zwodnicza postać, jestem rusałką w tym lesie, mieszkanką dębu, w którego cieniu

często odpoczywałeś, jam to kołysała cię do snu, zwiastowałam ci zdarzenia dnia przyszłego i wskazywałam ci, gdzie się zabłąkał koń. — Ale życie moje związane z drzewem, jeźli je zetną i ja umierać muszę. Broń mię od nielitościwej siekiéry twoich współziomków.“

Młody wojownik po tej łagodnej mowie nabrał odwagi i powiada:

— Czemkolwiek jesteś, czy boginką, czy rusałką, żądaj odemnie, co ci się jeno podoba, a wszystko, co jest w mej mocy, uczynię. Jednak zważ na to, że tylko sługą jestem i maluczkim w pośród mego narodu. Dziś, jutro, może książę powiedzieć: Wypędź stado tu, albo tam. albo gdzieindziej — jakże wtenczas zdołam obronić twoje drzewo, kiedy bory tak wielkie i tak daleko się ciągną? Gdy rozkażesz porzucę służbę u księcia i w cieniu twojego drzewa zbuduję chatę i będę go strzegł, póki życia mi starczy.

— Zrób, jak powiedziałeś — odrzekła rusałka — a nie pożałnjesz czynu tego.

Rusałka zniknęła, a wierzchołek drzewa zaszumiał cicho i mile, jak gdyby wietrzyk lekki kołysał jego liśćmi. Krakus stał chwilę zachwycony cudownem zjawiskiem.

Tak pięknego, miłego i zgrabnego dziewczęcia, a przytem smukłego i uprzejmego, dotąd, nigdy nie widział, choć już szerokie przewędrował kraje. Wreszcie ułożył się na mchu, lecz zasnąć nie mógł; świtem zerwał się na równe nogi i słodkie, miłe uczucie opanowało całą jego duszę i i wszystkie zmysły, ale tak świeże, dotąd mu nieznane, jak promień światła ciemnemu.

Rankiem pobiegł do obozu księcia, czemprędzej podziękował za służbę, związał chudobę swoją w zawiniątko, zarzucił na plecy i szybko wyruszył na pustynią pod drzewo.

(D. c. n.)